



Mirosław Derecki

CZŁOWIEK Z FOTORAFII

To zdjęcie ukazało się w „Sztandarze Ludu” z 24 grudnia 1970 r. jako ilustracja do sprawozdania ze spotkania aktywu FSC z I sekretarzem KW PZPR w Lublinie Władysławem Kozdrą. Reporter „Kameny” odszukał człowieka przedstawionego na pierwszym planie. Jak tutaj trafił, jakie były koleje jego życia? Na te pytania odpowiada relacja po tytule CZŁOWIEK Z FOTOGRAFII

Robotnicy my z dziada pradziada, metalowcy z ojca na syna. Ja myślę, że już za czasów Zagłębia Staropolskiego nasza rodzina przy żelazie pracowała. Coś o tym opowiadał dziadek, ale mały wtedy byłem - nie zapamiętałem. Co ja pamiętam i co wiem na pewno, to że Szwagierczakowie mieszkali zawsze w Ostrowcu Świętokrzyskim i jedli chleb z tego, co im huta dała zarobić.

Lat temu siedemdziesiąt z górą dziadek mój, Jan Szwagierczak, ożenił się z jedną miejscową panną i z tego związku przyszło na świat pięciu synów, którzy, jak dorośli, poszli do pracy w ostrowieckiej hucie. I też pożenili się z miejscowymi pannami i założyli własne rodziny.

Mój ojciec, Jan Szwagierczak, wziął za żonę córkę Franciszka Grysa, który był zresztą dobrym znajomym dziadka. Dobrym znajomym, bo po pierwsze - obaj pracowali w tej samej hucie i na tym samym robotniczym osiedlu od dziecka mieszkali, a po drugie - obaj należeli do Polskiej Partii Socjalistycznej i razem w 1905 roku strajkowali, a następnie brali udział w tworzeniu „Republiki Ostrowieckiej”. Podobnie - w 1918 roku, kiedy powstały u nas Rady Delegatów Robotniczych. Tutaj by trzeba dodać, że w starych robotniczych rodzinach Ostrowca nie tylko zawód, ale i świadomość rewolucyjną dziedziczył syn po ojcu. Bo wszak i mój ojciec był pepesowcem i brał udział w słynnych strajkach w 1923 roku, potem w 1926, a i ja w przyszłości miałem wstąpić do PPS.

No więc ojciec ożenił się i zaczęły przychodzić na świat dzieci: Janina, Maria, Bronisława, potem Leopold czyli ja, i w cztery lata po mnie najmłodszy - Teofil. Mieszkaliśmy w pokoju z kuchnią w zakładowym budynku w dzielnicy Ostrówek. Ojciec był z zawodu ślusarz-mechanik z uprawnieniami na prowadzenie parowozów, więc nawet w

okresach największego bezrobocia jakoś zarobek znajdował. Jak się kończyła robota w hucie - łapał dorywcze prace na kolei. Ale po 1926 roku zaczęło być coraz gorzej i gorzej, a w 1927 koniec kropka - huta stanęła, bo nie miała zamówień.

Ojciec, trzeba przyznać raz jeszcze, był człowiekiem obrotnym. Może przez to, że na parowozie wzdłuż i wszerz Polski jeżdżąc o świat się ocierał. Więc kiedy dowiedział się, że w fabryce broni w Starachowicach potrzebni są fachowcy, nie namyślał się długo i pojechaliśmy rozpocząć nowe życie.

Zamieszkaliśmy w długim piętrowym budynku zakładowym. Mieszkało w nim dwanaście rodzin, każda miała po pokoju z kuchnią. W tym pokoju było nas pięcioro dzieci i dwoje rodziców, ale i tak cieszyliśmy się, bo inni mieli gorzej, Ojciec pracował przy piecach martenowskich, jeździł suwnicą, przełożeni byli z niego zadowoleni. Jakoś się nasze życie zaczęło normować. Powoli zapomnieliśmy o Ostrowcu, czuliśmy się już tutejsi. Zresztą - nic dziwnego. Dziadkowie pomarli, a my, dzieci chociaż wszystkie urodzone w Ostrowcu, tutaj rośliśmy, tutaj chodziliśmy do szkoły. Jeszcze bardziej ugruntowała się ta nasza więź ze Starachowicami, kiedy najstarsza siostra, Janina, wyszła za mąż za tutejszego chłopca, też ma się rozumieć metalowca. Maria i Bronisława też miały już swoich chłopców i myślały o małżeństwie.

Przyszedł czas kiedy i ja stanąłem przy warsztacie. Było to w 1938 roku. Miałem siedemnaście lat, świeżo ukończyłem rzemieślniczą szkołę metalowa. Przyjęto mnie do Zakładów Starachowickich na wydział armatni. Pracowałem przy obróbce precyzyjnych elementów do haubic i dział przeciwlotniczych. Zacząłem nie najgorzej zarabiać. Życie przed sobą widziałem w sposób jeszcze mglisty: poznam jakąś ładną dziewczyną, pobierzemy się, wynajmiemy niewielki pokoik, przyjdzie na świat dziecko. Pewnie, że to był program minimum, ale ja wówczas miałem przecież lat niespełna osiemnaście.

Wszystko to wzięło w łeb, kiedy wybuchła wojna. Wojna niszczy nie tylko kraj, prowadzi również do zagłady życia rodzinnego. Dotąd tkwiłem silnie osadzony w pewnym zespole ludzi, byłem jednym ze Szwagierczaków. Ich życie było moim życiem. Ich troski - moimi. Szczególnie my, dzieci robotnika Jana Szwagierczaka, mieliśmy jakby wspólny życiorys. Można było bez trudu powiedzieć: My zrobiliśmy to, My zrobiliśmy tamto. Teraz jakbyśmy się na nowo urodzili.

Pierwszego dnia wojny rozpoczęła się ewakuacja naszych zakładów. Transporty kolejowe z najważniejszymi urządzeniami produkcyjnymi wyruszyły do Kowla. Tam miano zorganizować fabrykę i tam miała ruszyć pełną parą produkcja, już dla potrzeb frontu. Maszyny pojechały pociągami, a my, robotnicy obsługujący je, mieliśmy dotrzeć do Kowla... na piechotę. Była to wierutna bzdura organizacyjna, ale cóż, pomaszerowaliśmy. Pod koniec pierwszego tygodnia wojny wyruszyła między innymi ze Starachowic grupa dwudziestu młodych robotników, w której znajdowałem się również ja i mój przyszły szwagier Adam

Kielek, narzeczony najmłodszej siostry – Bronki. Nie otrzymaliśmy ani marszruty, ani przewodnika, ani żywności. Mieliśmy dojść do Kowla własnym przemysłem i „na nosa”. Nocując w stogach siana, w stodołach i... na gołej ziemi, żywiąc się czym popadnie, po dziesięciodniowej wędrówce dotarliśmy do Chełm. Ale tam dowiedzieliśmy się, że cały nasz wysiłek na nic, bo w Kowlu fabryki, nie zorganizowano, a my mamy wracać do domów.

W drodze powrotnej przechodziliśmy przez Lublin. Nie wiedziałem wówczas, że dwanaście lat później, po wielu perypetiach życiowych, osiadę tutaj na stałe, dając początek lubelskiej „gałęzi” rodu Szwagierczaków. Lublin zapisał się wówczas w mojej pamięci jak najgorzej. O mały włos nie rozstałem się tu z życiem. Kiedy w naszym koczowisku w Ogrodzie Saskim jedliśmy śniadanie, na miasto posypały się niemieckie bomby i pociski artyleryjskie. Sporo z nich spadło również blisko nas.

Do domu dotarłem pod koniec września i przez pół roku nie pracowałem, bo po wrześniowej wędrówce rozchorowałem się ciężko na stawy. Tymczasem Niemcy usiłowali wznowić w Starachowicach produkcję armat. Chodzili po domach i gonili ludzi pod karabinami do roboty. Wzięli ojca, wzięli mnie i najmłodszego brata, Teofila, chociaż chłopak nie miał jeszcze siedemnastu lat. Ja zacząłem pracować w narzędziowni jako frezer, a swoją robotą starałem się wykonywać jak najgorzej. Wszyscy zresztą tak pracowali. W fabryce kwitł sabotaż, działały organizacje podziemne. Niemcy nie zdołali przystąpić do produkcji dział. Brakowało im pełnej dokumentacji, a z polskich inżynierów i techników, mimo rozstrzeliwań i aresztowań nie mogli wydusić żadnej wiadomości na ten temat. Wreszcie dali za wygraną. Sprowadzili z Niemiec swoje maszyny i przestawili zakłady na produkcję pocisków artyleryjskich. Wtedy wyleciały w powietrze dwie wielkie komory w położonej nie opodal prochowni. Znowu fola aresztowań i rozstrzeliwanie ludzi. I tak było do końca wojny.

Dla mnie i dla brata Teofila wojna trwała rok dłużej niż dla reszty rodziny. Kiedy Armia Radziecka stanęła na linii Wisły, gdy wydawało się, że wyzwolenie jest już tylko kwestią dni, w robotniczej dzielnicy Starachowic nastąpiła nocna „branka”. Pewnej lipcowej nocy 1944 roku zostaliśmy z Teofilem wyciągnięci z łóżek i zapędzeni do długiego szeregu bydlęcych wagonów. Wkrótce transport ruszył na zachód. Myśleliśmy, że wiozą nas do obozów koncentracyjnych, na zagładę. Ale wkrótce sytuacja wyjaśniła się. Wiadomość była zarazem tragiczna, śmieszna i paradoksalna. Jechaliśmy „bronić” resztek Rzeszy.

W Brunszwiku leży robotnicze miasto Saltzger. Znajdują się tam kopalnie rudy żelaznej. W jednej z takich nieczynnych już kopalń na głębokość 400 metrów, urządzono podziemną fabrykę pocisków artyleryjskich. Cały nasz transport zagnano do położonych nie opodal kopalni baraków, teren ogrodzono drutami. Mimo to cieszyliśmy się względną wolnością. To już nie były pierwsze lata wojny i Niemcy odnosili się bardziej „po ludzku” do przymusowych robotników. Otrzymywaliśmy paczki od rodzin, od czasu do czasu wolno

nam było wyjść poza druty i odwiedzać inne, położone w pobliżu obozy pracy. Za to praca pod ziemią była niezwykle ciężka i wyczerpująca. „Szychta” trwała dwanaście godzin, a przy tym jeszcze nad głową stał Niemiec, nie pozwalając na chwilę wytchnienia. Każdy pocisk liczył się teraz dla nich na wagę złota. Z każdym dniem wojny kurczył się przydział żywności. Pracując ponad siły - głodowaliśmy. A przecież, jako pracujący w szczególnie utrudnionych warunkach, otrzymaliśmy co dwa tygodnie dodatkowe, „specjalne” przydziały. Wyglądały one humorystycznie: ćwierć kilograma wędliny, 10 deko tłuszczu, 10 deko cukru, 4 deko margaryny i pół kilograma chleba.

15 kwietnia 1945 roku do Saltzgiter wkroczyli Amerykanie. Byłem właśnie na dole i była to ostatnia „szychta” jaka w naszej kopalni wyprodukowała pociski dla niemieckiej armii. Mam tylko tę satysfakcję, że żaden z nich trafił już do lufy armatniej.

O godzinie jedenastej przed południem przygasło światło, stanęły wszystkie maszyny. Po chwili dyżurny sztygar otrzymał przez telefon wiadomość „z góry”: „Do miasta wchodzą czołgi amerykańskie. Elektrownia zniszczona. Przełączyliśmy oświetlenie na akumulatory, ale są one na wyczerpaniu. Windy nie działają. Nie możemy wam pomóc. Wkrótce zgaśnie światło. Próбуйте wyjść przez szyb awaryjny”.

Było nas dwudziesty i jeszcze stary sztygar, Niemiec. Mieliśmy trzy lampki górnicze. Gdyby nie ten sztygar, który bardzo chciał żyć, pewnie byśmy nigdy na powierzchnię nie wyszli. Zaplątaliśmy się w starych chodnikach i komorach. Ale on w kopalni spędził wiele lat i znał wszystkie zakamarki. Przez sześć godzin pokonywaliśmy te czterysta metrów dzielące nas od świata. Szliśmy na czworakach niską, wijącą się ślimakiem w górę pochylnią. Co kilkanaście metrów przystawaliśmy i sprawdzaliśmy, czy ktoś się nie zgubił. Z góry kapiała woda, dno szybu pokrywała gruba warstwa szlamu. Ostatnie sześćdziesiąt metrów wspinaliśmy się po przegniłych drabinach grożących w każdej chwili załamaniem. Na powierzchni, a przy wylocie szybu, czekał brat, Teofil. Nie poznał mnie. Byliśmy wszyscy, cała dwudziestka, bliźniaczo podobni do siebie. Umazani błotem od stóp po czubek głowy.

Byliśmy więc wyzwoleni, ale jeszcze nie - wolni. „Wolność poczuje dopiero wtedy - powiedział do mnie Teofil - jak zasiądę przy stole w naszym domu w Starachowicach. Jak się znowu poczuje członkiem rodziny Szwagierczaków”. Tak powiedział i poszedł... do Starachowic. Dosłownie. Jeszcze nie organizowano transportów do kraju, trzymano nas znowu za drutami, w obozach dla dipisów. Więc Teofil zebrał grupę kilkunastu chłopaków, przeleźli nocą przez ogrodzenie i pomaszzerowali na wschód przez Niemcy i Czechosłowację. W trzy miesiące później siedział już z rodziną przy tym wymarzonym stole. Poszedłbym i ja, ale już miałem inne obowiązki rodzinne. Ożeniłem się właśnie z dziewczyną z Sosnowca, która pracowała pod Saltzgiter w fabryce konserw. Nie mogłem narażać jej na długą i pełną niebezpieczeństw wędrówką. Wróciliśmy do Polski pierwszym transportem, w listopadzie 1945 roku.

Myślałem, jak przed dwudziestu laty myślał mój ojciec wynosząc się z Ostrowca: „Teraz w Starachowicach rozpocznę nowe życie”. Nic z tego nie wyszło. Przynajmniej wtedy, w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Zakłady były częściowo zniszczone, dopiero, zaczynano przygotowywać się wznowienia produkcji. Skusił mnie list średniej siostry, Marii, która z mężem mieszkała wówczas w Jeleniej Górze. Przez trzy lata pracowałem tam w fabryce „Askania” przy wyrobie precyzyjnych przyrządów. Mieliśmy wygodne mieszkanie, trzy pokoje z kuchnią i łazienką przy ulicy Mickiewicza, tam urodziło mi się pierwsze dziecko, córka Grażyna. Zaangażowałem się w robotę społeczną, wstąpiłem do Polskiej Partii Socjalistycznej, w 1948 roku znalazłem się w szeregach PZPR.

A jednak... Kiedy w gazetach zaczęły się ukazywać ogłoszenia, że fabryka samochodów ciężarowych w Starachowicach potrzebuje fachowców, że wzywa rozsianych po kraju starych pracowników zdecydowałem się szybko na powrót w rodzinne strony. Ale przecież na dobre osiadłem dopiero w Lublinie. W 1951 roku przeniesiono mnie służbowo do powstającej tutaj Fabryki Samochodów Ciężarowych. Dostaliśmy dwa pokoje z kuchnią na Bronowicach, przyszedł na świat syn. Mnie jeszcze trochę nosiło po świecie, wyjechałem na przeszkolenie do Związku Radzieckiego. Tam, w mieście Górki, spotkałem męża mojej siostry Marii. On też wrócił z Jeleniej Góry do Starachowic i jego również przeniesiono służbowo, ale na Żerań, do Warszawy. Jak i ja był tutaj na przeszkoleniu.

Myślę, że z Lublina się już nie ruszę. Rodzina Szwagierczaków rozbiła się na kilka gałęzi i to jest dobrze. To znaczy, że nasz ród się rozwija, że potrafi wyzyskać te szerokie horyzonty, jakie się przed nim w naszym państwie otwierają. Dawniej, byli tylko Szwagierczakowie z Ostrowca Świętokrzyskiego. Teraz są także Szwagierczakowie ze Starachowic, z Warszawy, z Lublina. Jest tylko jedna rzecz w naszej rodzinie niezmienna: wszyscy pracujemy w przemyśle metalowym. Jako wysokokwalifikowani robotnicy, jako technicy lub inżynierowie. No bo proszę: zięć najstarszej siostry, Janiny, jest inżynierem w zakładach starachowickich, mąż Marii pracuje jako szlifierz na Żeraniu, syn siostry Bronisławy jest technikiem w Starachowicach. Również w Starachowicach pracuje jako konstruktor, mój brat Teofil. Jego syn wkrótce ukończy wyższą uczelnię techniczną w Krakowie. Ja, od prawie dwudziestu lat związany z FSC, pracuję jako wytaczarz na wiertarkach koordynacyjnych. Sprawują funkcje sekretarza Oddziałowej Organizacji Partyjnej. Mój syn Jan kończy właśnie technikum mechaniczne przy FSC. To już taka tradycja: syn dziedziczy po ojcu zawód metalowca.

Pierwodruk: „Kamena”, 1971, nr 3, s. 1,4.